

„Przedostatniość” rozmów z Benedyktem XVI - recenzja książki Petera Seewalda

Ostatniego wywiadu, który miał być wydarzeniem wydawniczym, papież Benedykt udzielił ładnych parę lat temu. Może więc w przypadku publikacji, to spece od marketingu chcieli mieć ostatnie słowo



Nie powinno ujść uwadze czytelnika, że „Ostatnie rozmowy” mają być według Petera Seewalda jedynie tłem do jego pracy nad biografią Benedykta XVI – pisze Sławomir Zatwardnicki w recenzji książki będącej zapisem wywiadu z papieżem-emerytem



Ktoś kiedyś napisał, że rynkiem wydawniczym

rządzi marketing. Tak właśnie jest z publikacją Petera Seewalda "Benedykt XVI Ostatnie rozmowy", której interpretacja została już z góry narzucona przez specjalistów od sukcesu. Nieładnie jednak robić z tata wariata, a z prawie dziewięćdziesięcioletniego Ojca Świętego wciąż w pełni sprawnego intelektualnie rozmówcę, skoro ten już przed trzema-czterema laty uznał osłabienie sił zarówno ciała, jak i ducha za powodujące niezdolność dobrego wykonywania powierzonej mu posługi. Być może są to ostatnie rozmowy, ale przeprowadzone „przedostatnio”, przed i świeżo po abdykacji. Najświeższe pogawędki datują się bowiem na przełom 2013/2014 roku, skoro wspomina się w nich adhortację *Evangelii gaudium* jako ostatni dokument, a Putin okazuje się przekazywać „ostatnio” (listopad 2013) ikonę Franciszkowi, którego z kolei pontyfikat jest oceniany przez Benedykta XVI po roku sprawowania posługi Piotrowej.

Z powodu tej „przedostatniości” tracą nieco na wyrazie te stwierdzenia „Ojca Benedykta” (tak ponoć *papa emeritus* życzy sobie, by się do niego zwracać), które idą pod prąd środowisk tradycjonalistycznych próbujących zawłaszczyć dla siebie papieża rzekomo konserwatywnego

i jakoby z innej gliny lepionego od swojego następcy. Ale i tak wyznawcy spiskowych teorii Antonio Socciego otrzymują twarde orzechy do zgryzienia, podczas gdy fanom Franciszka miód leje się na serca, choćby wtedy gdy interlokutor niemieckiego dziennikarza komplementuje Ojca Świętego i jego styl bycia, a zbrodnię polegającą na nie założeniu przez niego *mozzetty* kwituje krótkim: „ale to było mi obojętne” (zanutujmy!). Byłby *knock out*, a tak jest tylko liczenie – bo przecież papież-senior nie usłyszał jeszcze dźwięku furtki otwierającej rozwodnikom drogę do Komunii Świętej. Tak czy siak, prawdziwy Benedykt XVI nie wykazuje podobieństwa do fałszywego, zrodzonego w głowach ideologów integryzmu; dla tego, kto zna jego twórczość, nie jest to zresztą nowość.

Ratzinger jawił się jako postępowy i krytyczny, chcący uprawiać nowoczesną teologię, zaliczał się do obozu progresywnego, a życzliwszym okiem na konserwatystów spoglądał dopiero, gdy progresywizm oderwał się od wiary i zaczął przynosić pustoszące efekty. Jest w swoim mniemaniu reformatorem i konserwatystą zarazem, szukającym nowych dróg na bazie „starego fundamentu”. Trudno byłoby w nim dopatrzeć się zwolennika powrotu do epoki przedsoborowej, owszem zwołanie Soboru wybiło we właściwej godzinie i cieszy go „reforma soborowa, gdy przyjmuje się ją zgodnie z właściwym jej duchem”. Bez wiary, od której wyszli i którą reflektowali Ojcowie Soboru, nie można dokonać właściwej interpretacji dziedzictwa *Vaticanum Secundum*; jednak w tej mocy zgromadzenia, o paradoksie, kryła się słabość: „za daleko poszliśmy w teologię i nie zastanowiliśmy się nad tym, jakie implikacje pociągną te sprawy za sobą na forum zewnętrznym”. Jako „budowniczy mostów” wydaje się łączyć starą i nową erę: „nie należę już do starego świata, a nowy jeszcze tak naprawdę nie zaistniał”. Wyrazem pontyfikatu może być

Rok Wiary stanowiący ponowną zachętę do odkrycia na nowo i „od środka” Boga objawionego w Chrystusie i centralnego miejsca wiary w życiu.

Jest pouczające, w jaki sposób „papież, który abdykował” odpowiada na zarzuty wielu, w tym naszego rodzimego katolicko-prawicowego publicysty, który, jak pamiętam, upierał się przy naturalistyczno-pobożnej wersji, że jak ojcem jest się do końca, tak Ojcu Świętemu również nie wolno pozostawiać dzieci. A jednak paradoksalnie właśnie takie podejście okazuje się być podyktowane funkcjonalizacją i zeświecczeniem, bowiem misję wiąże nierozzerwalnie z wykonywaniem funkcji. Optyka wiary każe jednak widzieć – podpowiada *papa emeritus*, który rozszerza na papieża to, co już wcześniej przyjęto względem posługi biskupiej – że wewnętrzna odpowiedzialność nie musi pokrywać się z pełnieniem urzędu i w zakresie oddawanych odpowiedzialności „nawet ojciec przestaje być ojcem” w pewnym wieku (w przypadku biskupów – 75 lat i basta).

Już w *światłości świata* zakładał ówczesny Ojciec Święty możliwość zrezygnowania ze stanowiska, jeśli siły fizyczne czy psychiczne miały uniemożliwiać sprawowanie powierzonej mu władzy. Właśnie ten ubytek sił został przywołany jako powód abdykacji pamiętnego dnia 11 lutego 2013 roku. Zawsze uważałem, zgodnie zresztą z podstawową zasadą hermeneutyki, że w interpretacji osoby i słów Benedykta XVI trzeba wychodzić i nie odrywać się od „litery” tego, co w swojej szczerości był powiedział. Dlatego nie poddałem się wtedy poszukiwaniu „antyducha” spiskowych teorii, nawet tych „pobożnych” (źródłem decyzji – przeżycie mistyczne), oderwanych od rzeczywistości. Zamiast „hermeneutyki podejrzeń” – należy się oprzeć na „hermeneutyce wiary”, zgodnie z którą należy patrzeć również na

abdykację. A wiara chrześcijańska, stojąca na fundamencie Boga stającego się człowiekiem, nie może bać się tego, co ludzkie; również papieństwo „nie straciło nic ze swojego autorytetu, nawet jeżeli bardziej widoczna stała się jego ludzka strona”.

Sam zaś *Padre Benedetto* jest właśnie ludzki „do bólu”. Potrafi zażartować, jak wtedy, gdy wspomina „wstępowanie do nieba” odlatującego helikopterem papieża, ale i przecierać ze wzruszenia oczy w trakcie udzielania wywiadu. Wynalazcę spinek do mankietów chciałby widzieć głęboko w czyścicu, w niebie zaś – a nadzieję tę wyraża autor naukowej książki o eschatologii! – „będzie tak samo wspaniale, jak było u nas w domu”. Nie czuje się na tyle silny, by stale poświęcać się sprawom Bożym i duchowym, a mistycznych „ciemnych nocy” nie doświadczył, bo „pewnie nie jestem na tyle święty, żeby popaść w tak mroczną otchłań”. Z kolei nocami nie może pracować, bo „sen to stały punkt w programie (uśmiech), którego nie pozwalam nigdy naruszyć”. Nie jest zatem, przyznaje, tak pracowity jak de Lubac czy Congar, a w swoim dorobku nie może się mierzyć z Balthasarem. Ponieważ miał „wewnętrzny potrzebę zwrócenia się do ludzkości”, funkcję prefekta Kongregacji Nauki Wiary zgodził się przyjąć jedynie pod warunkiem dalszego pisania. Jako papież „uczony i jesusowy” wydał jedynie trzy encykliki, pisał bowiem (ołówkiem) trylogię o Jezusie: „po prostu czułem, że muszę je pisać”. Nie mógł na stolicy Piotrowej podejmować długoterminowych projektów ze względu na to, że nie miał to być długi pontyfikat, a w porównaniu z „mistycznym i maryjnym” poprzednikiem, wyznaje *Vater Benedikt*, „miałem inny charyzmat albo wcale go nie miałem”.

A jednak potwierdza się, że marketing rządzi odbiorem książki – i ja poświęciłem lwią część recenzji na kwestię abdykacji, która, pod prąd chronologii rozmów, znalazła się nie na końcu, a na początku książki, i która zajmuje proporcjonalnie mało objętości w stosunku do tego, co mogłaby sugerować okładowa notka czy prolog wywiadobiorcy: „Niech ta książka będzie drobnym przyczynkiem służącym skorygowaniu fałszywych obrazów i rozjaśnieniu ciemności, zwłaszcza towarzyszących okolicznościom jego ustąpienia, które tak zszokowało świat”. Oprócz tych mało sensacyjnych sensacji otrzymuje przecież czytelnik wspomnienia całego życia, od dzieciństwa w rodzinnym domu, czasu wojny, przez późniejsze przygody „teologicznego nastolatka” uczestniczącego jako *peritus* w Soborze Watykańskim II, pracę na stanowisku profesora teologii, a potem w roli „psa gończego papieża” (jak epitetowało się prefekta kongregacji stojącej na straży wiary), wcześniej jeszcze pełnienie funkcji biskupa, a w końcu poddanie swojej głowy „toporowi” wyboru kardynałów zgromadzonych na konklawe. Seewald pyta o papieskie podróże i spotkania, wskazuje na zaniedbania i problemy, proponuje też swoiste *résumé* pontyfikatu.

Całość wieńczy jeszcze „nota biograficzna” oraz aneks, w którym przywołano tekst Ratzingera z końca lat pięćdziesiątych. „Neopoganie i Kościół” mają być swego rodzaju prorocstwem dotyczącym przyszłości Kościoła. W gruncie rzeczy sama diagnoza nie różni się od tego, co pokątnie wypowiadają zdrowo myślący katolicy zbierający się w przyparafialnych salkach, tyle że teraz dzięki autorytetowi stawiającego diagnozę te „oczywiste oczywistości” zostają ogłoszone „na dachach” firmy Seewald-Ratzinger: „Właśnie to jest cechą charakterystyczną Kościoła naszych czasów, podobnie jak i neopogaństwa, że mamy do czynienia z pogaństwem w Kościele oraz z Kościołem, w którego sercu krzewi się pogaństwo”. W związku z tym autor tekstu postuluje

porzucenie utożsamienia Kościoła ze światem, swoistą „sakralizację” polegającą na odkrywaniu tego, czym Kościół jest w swojej istocie. Od masowości Kościół zmierzać będzie w kierunku żyjących wiarą wspólnot, dlatego zamiast restauracji dawnego modelu życia – trzeba szukać nowych form życia wiarą. Najciekawszy w tekście wydał mi się nowy paradygmat ewangelizacyjny zaproponowany przez młodego teologa – „punktem Archimedesowym” nie tyle jest dążenie do uczynienia chrześcijan ze wszystkich pogan, ile raczej oddanie się „niewielu” (chrześcijan) na służbę „wielu” (pogan), podobnie jak Jeden Chrystus oddał się dla wszystkich.

Seewald, zwłaszcza w prologu prezentującym postać wywiadodawcy, pozwala sobie na nieco emfatyczny styl, który dał nam już wcześniej poznać, i któremu zresztą nie należy się dziwić, jeśli pamięta się, że wywiad przeprowadza w jakimś sensie duchowy syn Ratzingera (choć ten zwraca się wciąż do niego na „pan”... Ale nie „tykał” się nawet z Wojtyłą!). Rozmowa z kolei stanowić może jakąś bardziej niewinną formę tak ludzkiego plotkowania, bez którego trudno sobie wyobrazić ludzkie życie i poznawanie rzeczywistości. Dla jednych będą to sprawy nowe, dla „chomików” informacyjnych wspominki będą raczej przypomnieniem oraz uzupełnieniem wiadomości znanych już z poprzednich wywiadów czy z autobiografii Ratzingera. Całość czyta się „lekką, łatwo i pożytecznie”, a użyty przez polskiego wydawcę miły w dotyku papier mile łasi się pod palcami. Usypia to czujność czytelnika, który nie zapyta, czy to możliwe, żeby ten człowiek – co prawda papież, ale przecież poddany biologii – rzeczywiście pamiętał te wszystkie szczegóły i szczegółiki, którymi okraszona jest konwersacja? Raz jeden Benedykt XVI nie potrafi sobie przypomnieć... nazwy pewnego hotelu – może właśnie dla uspienia podejrzliwości zostawił dziennikarz ten ślad słabości? Oto moja osobista teoria spiskowa, nie do końca poważna.

A druga jest taka: jeśli wywiadu udzielono ładnych parę lat temu, czy nie dlatego zostaje on wydany właśnie teraz, że zgodnie z dżentelmeńską umową miał ujrzeć światło dzienne, gdy emerytowany papież poczuje, że zbliża się jego wieczny odpoczynek? A może chodzi raczej – marketing musi mieć ostatnie słowo – o przygotowanie gruntu pod kolejny bestseller? Otóż nie powinno ująć uwagi czytelnika, że „Ostatnie rozmowy” mają być według Seewalda jedynie tłem do jego pracy nad biografią Benedykta XVI, której rzeczywiście należy z niecierpliwością wyczekiwać; zapewne nie będzie mniejsza objętościowo od biografii Jezusa, która wyszła również spod jego pióra. Jeśli na ten smakowity kąsek połakomi się ten sam wydawca, niech uważa na błędy oraz niedociągnięcia, których nie ustrzegł się w przypadku wspomnianej biografii (literówki, „wyrazówki” i inne) oraz recenzowanego wywiadu (dla przykładu tłumaczenie „ortodoksyjny” zamiast „prawosławnego” czy niewiele wnoszące przypisy – kto z nr 21 domyśliłby się, że chodzi o tę „małą Bernadetkę?”).

Sławomir Zatwardnicki

Książka P. Seewalda "Benedykt XVI *Ostatnie rozmowy*" została wydana przez Dom Wydawniczy RAFAEL w tłumaczeniu J. Jurczyńskiego - Kraków 2016.